POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX Warszawa, dnia 29 Października 1927 roku Nr. 44

ANDRZEJ STRUG

7) UCZTA ZWYCIĘSTWA

— Z musu. Była najpewniejsza, że ją w każdym razie i tak zgwałcą, a snać już kiedyś i to nieraz przez to przechodziła i wolała się odrazu poddać okolicznościom. Przystosowała się do prawa wojny.

— I kapitan to rozumiał?

— Jeszcze by też... Miał i on czas zgłębić prawo wojny.

— A zatem jest podłym żołdakiem bez honoru!

Na tem urwała się rozmowa. Podporucznik był przerażony tem, co powiedział i to wobec szeregowca. Ale gorzej był przerażony wizją dziejów Xeńki. Nic podobnego nie postało mu nigdy w głowie. Wiedział już teraz, że był naiwny i głupi. Teraz w jednej chwili zmądrzał. Zdawało mu się, że się ocknął z opętanego snu. Czyż można kochać istotę, przez którą od tylu lat przewalało się dzikie mrowie wszelakiego żołdactwa? Taką... Taką.... Otoczył go odmęt rozpasanych obrazów. Zatargało nim obrzydzenie i Xeńka zgasła w nim nagle. Znikła na zawsze.

*

* *

Stara Woropycha z Duńką dźwigały okrąglaki, układając płaski dach nad nizkim zrębem. Przypominało to karykaturę pozycyjnej ziemianki. Szło im niezdarnie. Drzewa po niemcach zostało moc. Od dwuch lat brał kto chciał i na opał, i na budowę, a wciąż stały jeszcze w polu szychty kloców, przeznaczone kiedyś na drogę rezerwową przez mokre łąki. Nie brakło drzewa, w starych, rozwalonych okopach, walało się co niemiara gwoździ, klamer żelaznych i okna były, i drzwi, i tapczany, — jeno sił już całkiem nie było.

Stara, ujrzawszy zdala Xeńkę, złożyła bal i spoczywała, dysząc świszczącym i wysilonym oddechem. Czekała, stercząc w słońcu jak widmo jasnokościste, oberwane i bose i patrzała ku niej oczami, wbitemi kędyś głęboko w czaszkę. Duńka pracowała dalej, zlana potem, z oczami błędnemi od gorączki, która chwyciła ją tej wiosny i nie opuszczała jej już nigdy. Dziewczyna była oszpecona sinemi i białemi bliznami po wrzodach, które pobruździły jej twarz i wyjadły dolną wargę.

— Ide nasza Xeniczka — hej ide!

Z ciemnej ziemianki ozwał się gruby pomruk i wnet przeszedł w natarczywe bełkotanie, pełne zająkliwych, urwanych skowytów.

— Cyc, Pyłyp! Mowczi synku, bo Xeńka pide...

W ziemiance ucichło. Xeńka postawiła kobiałkę pod progiem i nie witając się z nikim, ani patrząc, przysiadła na balu. Stara natychmiast zaczęła nad nią szybkie, zatajone gadanie, jakby w niezmiernym pośpiechu a zarazem w strachu, żeby nie usłyszał kto obcy. Dziewczyna nie zważała na to zupełnie. Podparła się rękami pod brodę, wbiła oczy w ziemię i siedziała bez ruchu. Tylko gdy z ziemianki dochodził pomruk lub stłumione stęknięcie, ściągały się jej ciemne brwi.

— Nam co, choćby kąt w oborce dla nas trojga, gnojem końskim się ogrzejemy, byle przezimować..... Wszystkich prosiłam, u samego pułkownika w Sitowiczach byłam, u nóg mu leżałam i płakałam, póki nie wyrzucili.... Wszystkie chaty zawalone żołnierzami, wszędzie pełno, wszędzie ciasno, a jeszcze ma przyjść artylerja... U Wasylów byłby kąt — mało sto razy ja prosiła, jak płakała, gonią precz i tylko. Duszy w nim niema ani w niej — przecie siostra rodzona... Teraz jak się pokażę, to już mo łapie za cep — a ona na to patrzy — siostra rodzona. Błagam ja: pomóż ty nam budę na zimę sklecić, piec pobuduj, bo my z Duńką nie umiemy, przyodziewku na grzbiecie nie mamy, przyjdzie zima, na śmierć pomarzniemy ...Won — krzyczy... Won i won!.... A czemu was wszystkich zaraza nie wymordowała?... U rotmistrza byłam, dobry pan, pozwolił resztki z kotła sołdackiego zabierać i tak przez całą zimę, Boże daj mu zdrowie, Boże daj mu carstwo niebieskie... .Ale co z tego, kiedy przytulić się niema gdzie, porządnego kożucha, derki jednej dziurawej nie mamy ...Mróz nas weźmie, utrupi, żadne z nas nie doczeka ciepłych dni, oj nie....

Xeńka uparcie patrzała w ziemię złemi, skamieniałemi oczami. Już jej nie starczyło dobroci ani na jedną krztynkę, wszystka jej wyszła przez te dwa lata.

Akurat dwa lata temu, kiedy ostatni niemcy zabrali się i poszli, a z tyłów i z poza ruskiego frontu zaczęli napływać powracający ludzie, po pierwszych mrozach o zmierzchu dnia wleciała do izby Pyłypowa matka, wpadła jak oszalała, krzycząc, jęcząc, śmiejąc się i płacząc, że wyrozumieć nie było żadnego sposobu.... I wraz sztych pchnął ją pod samo serce nawskroś jak bagnetem. Zamroczył ją strach ogromny, lęk, wrzeszczący na olaboga, jak w ciężkiem śnie — i radość...

— A co to?!... Rety.. . Co to?!

Przez rozwarte drzwi do ciepłej izby pędem walił mróz, a nisko po samej ziemi czołgało się coś straszliwego i długo przewalało się przez próg. Xeńka cofała się krok za krokiem aż do komina, a gdy widno

wypełzło na środek izby i zaryczało, zawyło w duszę rozdzierającem szlochaniu....

Tego samego wieczora zwalił się na wieś ze swoją watahą zbójecki ataman, Kasjan Pietrowicz i zakwaterował się w izbie.

— ..... Nie przebiedować nam tej zimy Xeniuszka, wszyscy troje pomrzemy. Póki Duńka była zdrowa, ona nas żywiła, ona chroniła. A jak ją zarazili, jak w niej zagubili obraz ludzki, któż taką zechce! W jednej tobie jedynej nasza nadzieja, jak w tej Matce Najświętszej.... Nie ostaw ty nas na zatracenie, Xeńka, duszo ty nasza miłosierna...

Wrócił ukochany, upragniony, dowlókł się do rodzinnej wsi. Co przeszedł? Jakim cudem wyżył? Nikt się tego nigdy nie dowiedział, bo mowę mu odjęło i nie wiedział, co do niego mówiono, ogłuchły jak pień. Od pół ciała bezwładny, wlóczył za sobą nogi, na rękach się wspierając, na tych czarnych dłoniach bez palców. Targało nim, trzęsło i miotało bez chwili wytchnienia i spokoju. Skakała na nim głowa, latały ręce. W skurczach i drgawkach mieniła się twarz oparzona, przepalona, wyżarta do kości, bezzębna, beznosa... Tylko oko jedno ocalałe żebrało miłosierdzia i zdradzało straszliwe, nieznane dzieje.

Czemużeś wyżył, czemużeś ty głowy nie złożył pod wiecznym spokojem matki ziemi, jako złożyły tysiące tysięcy braci twoich, prawosławnych żołnierzy? Bóg ich przygarnął do chwały swojej, a ciebie cisnął jako okropną poczwarę na poniewierkę między żyjących ludzi... Żeby każde oczy odwracały się od ciebie ze strachem, żeby więcej niczego jeno rychłej śmierci zapragnęła dla ciebie matka rodzona i ukochana dziewczyna i najmiłosierniejszy Chrystusowy człowiek....

Jedni powiadali, że to od miny, która powietrzem wyjąc leci, że ją zanim spadnie oczami dojrzeć można, a waga jej bywa do dwudziestu pudów. Taka gdy trafi, całą rotę w okopach pochłonie, rozmiecie na drzazgi i ziemią nakryje, jak w grobie. A nie trafi, to sam pęd powietrza ludzi porazi, kości połamie, dym trujący wyżre oczy, wyżre płuca...

Horodyszczuk, starszy unteroficer, który dwa Georgje z wojny przywiózł, a obie ręce zostawił pod Zborowem, obejrzał kalekę i orzekł, że to od niemieckiej maszyny, co płomieniem tryska, ogniem ludzi polewa i pali żywcem. A Demjan Tichoniuk, choć na wojnie oślepły, odrazu odgadł, że to tylko od gazów. Na początku bywał dym zielony, duszący, który szedł z wiatrem, jak chmura... Potem w pociskach z armat miotano żrące trucizny, coraz insze, coraz okropniejsze, na które nic się nie zdała żadna ruska maska... Aż w końcu przyszedł gaz, którego nie uchwycił, nie ogarnął ani okiem, ani węchem, ani żadnem ludzkiem czuciem. Godzinami w powietrzu wisiał, całemi dniami słał się po ziemi, a kogo dosięgnął. Nie zaraz, a po kilku godzinach, po paru dniach siniał człowiek, czerniał, ślepły oczy, odpadały palce u rąk, u nóg i odwalało się ciało od kości.... Wielkie szczęście miał Pyłyp, cud, że z tego wyszedł żywy. To gaz djabelski, niemiecki, straszliwy Żółty Krzyż.

* * *

Raz tylko spojrzała nań Xeńka, raz jedyny i nigdy go już nie widziała na swoje oczy. Dość było, żeby jak upiór stał przed nią na zawsze, na całe życie. Dreszczem i strachem przenikał ją jego głos okropny, żałosny, rozpaczliwy i niemy, nie ludzki i do wycia zwierzęcego nie podobny. Przymuszała się przez przemoc nad sobą, żeby do niego zajrzeć raz na parę tygodni i donieść mu tę kobiałczynę strawy. Odganiała precz jego obraz i pamięć swojej dawnej tęsknoty, przeklinała dzień, w którym z wojny powrócił.

Odmieniła się cała od tej pory. Już ją nic nie obchodziło na świecie, zabrakło żałości dla krzywdy ludzkiej, nie stało na nic serca. Mogli przy niej z głodu zdychać swoi ruscy prawosławni ludzie, a nie przyszło jej do głowy cisnąć im kawałka chleba, którego jej nigdy nie brakowało. Mogli pod jej oknami wlec jeńca na rozstrzelanie, mogli w jej oczach męczyć a batożyć do śmierci niewinnego człeka, a nie broniła, choć dość jej było nieraz jedno słowo rzec do „atamana" Kasjan Pietrowicza, do swojego garbatego komisarza, do czerwonego oficera, do białego, do polskiego.... Na kamień skrzepło serce... Już zaczynało ją jak gdyby tajemnie radować cudze nieszczęście, okrucieństwo ludzkie i własne upodlenie. Wywróciło się w niej wszystko naopak. Bez wstrętu poddawała się każdemu z kolei, który ją brał, mając po temu jedyne ludzkie prawo — prawo siły. Powzięła pogardę dla cichego ludu bożego, dla słabych, dla uciemiężonych.

Żyła z dnia na dzień jak w ciężkim śnie, a gdzieś w pobliżu, czy w dali lat czekał na nią dzień a w nim godzina jakiegoś wielkiego ocknienia. Co to będzie? Coś potężnego, coś straszliwie ważnego — niewiadomo co. Doczeka i na tem będzie jej koniec. Może archanioł białoskrzydły przez Boga zesłany zabierze ją do chwały niebieskiej w nagrodę za jej umęczoną, sponiewieraną czystość i cześć. Nie — to szatan porwie ją w piekło wieczyste.... Było jej wszystko jedno, już dawno odwykła modlić się do Boga, już dawno przestała bać się djabła. Mniejsza o śmierć.

Ale zanim zginie i zczeźnie, musi się jej objawić jakowyś cud. Musi doczekać bodaj jednej takiej chwili, żeby w niej poznać i zgłębić, po co się męczyła na tym świecie? Bodaj w ostatniej godzinie żywota, w ostatniem uderzeniu serca odsłoni się przed nią wielka tajemnica, owa mądrość nad mądrościami, którą wyraża święte słowo, śpiewane w liturgji — „Premudrost". Zrozumie, po co była wojna, za co zginęły miljony ludzi, za co poniewierają się po świecie miljony kalek. Po co paliły się wsie i miasta, poco zdziczała i w pustynię obróciła się ziemia... Cóż znaczą jej cierpienia przy bezmiernem nieszczęściu świata? Nic — ale gdy zrozumie własną niedolę, odgadnie i resztę — wielką, ciężką tajemnicę tej wojny. Bez tego nie skona, przecie nie jest psem, jeno człowiekiem....

Targał nią bunt przeciwko wszystkiemu, co było, i męczyła, truła nikczemna bezsilność. Zrywała się po nocy w szaleństwie, żeby kędyś gnać, żeby coś przecie począć.... Podpalić chatę.... Lecieć prosto do jeziora, rozpędzić się na wysoki brzeg... Pójść w szeroki świat, iść, nie oglądając się za siebie, iść, póki nie padnie trupem lub kogoś nie spotka.... Kogo?

Nie miała nikogusieńko. Nic jej nie trzymało na tej ziemi, krom głodnej żądzy wiedzenia. Wierzyła ślepo, zajadle, że zwiastowane jej będzie słowo objawienia, ono rozproszy chmurę obłędu i rozpaczy, tę mgłę trującą, która przesłoniła przed nią żywy świat.

I może nieprawdą były długie lata wojny i grzmot armat, i zgliszcza rodzinnej wsi, i wszystkie nieprzeliczone bezeceństwa... I maszkara ukochanego Pyłypa i jej okropne dzieje?... Obudzi się z długiej nocy i ujrzy, jak słońce znowu wschodzi ponad starym borem po tamtej stronie jeziora, ocknie się dawna Xeńka, ta prawdziwa, pełna radości, czysta, jak polny kwiat...

(D. c. n.).

JULJUSZ GERMAN

J A C E K

3)

Minęła wiosna i lato. Spędził je Karzymowski wraz z synem nad morzem, w La Baule, w Bretanji. Był tam Jacek przedmiotem podziwów i zachwytów wszystkiej płci żeńskiej, począwszy od dwunastoletnich dziewczynek aż do pań przejrzałych lecz nigdy nie zrezygnowanych, które pieściły jego postać spojrzeniami uroczo rozpaczliwemi. Podobnie jak i w Paryżu nie tylko, że nic sobie nie robił z tych zachwytów, ale najwyraźniej go nudziły.

— Jakto, żadna ani trochę ci się nie podoba? — spytał raz ojciec, dziwiąc się w duszy tej pogardliwej obojętności Jacka.

— Nie. Albo bezczelne, albo stare — odpowiedział krótko.

Miał ważniejsze sprawy. Po raz pierwszy w życiu ujrzał morze. Oderwać go było trudno od ciągłego pluskania się w falach i od patrzenia godzinami na grę tych fal nieskończoną i coraz nową.

Nabrał również namiętności do samochodu. Błyskawicznie nauczył się kierować lśniącą jak lustro maszyną i z rozkoszą woził ojca daleko, daleko.

I jesień przyszła, a z nią znowu nauka w kolegjum, jeszcze bardziej zaciekła i świetna, niż przed wakacjami. Dzień nie szedł, lecz pędził za dniem drugim. Zmierzch zimy przyszedł, rok w Paryżu, jakby z bicza trzasło.

Tak się złożyło, że w tych czasach wypadły Jacka urodziny. Z tej okazji Nikodem zaprosił obu swych gości do komedji Francuskiej, gdzie było dość nudnawo, i po przedstawieniu na wieczerzę do Paillard'a.

— Rozpoczynasz siedemnasty rok życia, trzeba już powoli wchodzić w świat, mój mały.

„Mały", w smokingu, z tuberozą w butonierce, ze spadającym uparcie na lewą skroń puklem czarnych włosów, z dużemi zielono - błękitnemi oczami książątka w twarzy ciepłej najświeższym kolorem młodości, rwał ku sobie wzrok wszystkich na sali.

— Można nieźle się wygrzać w ogniu tych lubych lśnień, któremi kobiety bombardują nasz stolik. Udał się nam ten Jacek, mój Władziu.

— No, nam jak nam — pan Władysław spojrzał na niego przez ramię. — Chociaż mieszkasz przy ulicy „pięknych liści", na twojem drzewie taki listek z pewnością by nie wyrósł, mój stary...

— A czy wiesz, — przerwał Nikodem, nieco skrzywiony, — że on naprawdę podobny do drugiej żony tego warjackiego Piotra, naszego, że się tak wyrażę, praszczura? Co, znam genealogję rodu? Już, jak chodzi o tradycje, archiwa, lepszego nie znajdziecie! Mam w moich zbiorach jej miniaturę, zapomniałem ci pokazać....

— Pamiętam doskonale portret z Karzymowic— rzekł Jacek. — Bardzo go lubię. Ciekaw jestem, czy ona teraz wie, że my o niej mówimy...

Nikodem ze zdziwienia o mało co nie zachłysnął się łykiem burgunda.

— Czy ty przypadkiem nie masz gorączki, chłopaczku?

— Widzisz, Jackowi wydaje się zawsze, wydaje dziecinnie, — wyjaśniał pan Władysław głosem, chyba wbrew woli, zadumanym — że to, co raz, choćby przez moment pięknie istniało, nie może już nigdy zginąć bezpowrotnie... Że żyje jakiemś życiem dla nas niewyobrażalnem, ale żyje bezwzględnie...

— Jaki ojciec kochany, że tak to powiedział! — uradował się Jacek. — Właśnie tak myślałem, a wyrazić słowami, tom nie umiał.

— Dajcie mi święty spokój! — żachnął się Nikodem. — Majaczenia o czemś zagrobowem... nienawidzę tego! — wstrząsnął się i ku pokrzepieniu pociągnął porządnie z kieliszka. Potoczył spojrzeniem wokoło.

Wykwintnie ciche dźwięki muzyki. Lekki, powiewny gwar rozmów. Ironicznie zachęcające śmiechy strojnych kobiet o torsach prawie nagich, wyrastających z dekoltu czarem wielkich tajemniczych kwiatów.

— Takie widoki — Nikodem zaraz się ożywił — bardzo były w guście naszego pana Piotra. Nie wiem skąd, ciągle o nim dziś myślę, gdy patrzę na ciebie, mój Jacku. Wyobraźcie sobie, grzebiąc się w rodzinnych szpargałach... u was myszy na strychach to zjadają, zaś ja przechowuję każdy taki papier starannie i kataloguję ze ścisłością bibliotekarza... wyszperałem jakiś pamiętnik czy raptularz, spisany przez jednego z dworzan pana na Karzymowicach Wielkich... Jest tam, pomijając inne ciekawe rzeczy, opis pewnego „sielskiego festynu". Szelma Piotr sprosił całą okolicę, najszanowniejszych sąsiadów na bankiet wieczorny w ogrodzie. Widzą wśród drzew posągi nimf i bogiń „wielce nieskromne", jak pisze ów dziejopis. Jaki taki marszczy się, gorszy, oburza, ale patrzeć to patrzy. A tu raptem na znak czcigodnego pradziadunia trębacze trąbią fanfarę, posągi zeskakują z postumentów i puszczają się w pląsy na trawniku. „Były to" — pisze pamiętnikarz — „dziewki wiejskie, co z najurodziwszych pod okiem JWP. Pułkownika wybrane i przez niego we wstydzie ciężko pohańbione, bo gołe, jak je macierz na świat wydała. A *horrible dictu*, prym między niemi wodziła jaśnie wielmożna Pułkownikowa, z italskiej pochodząca ziemi...."

— Nic w tem złego, o ile była taka piękna, jak te posągi, którem widział w Luwrze — szepnął Jacek.

— Patrzcie-no, patrzcie, „mały" zaczyna się przecierać, aspirant na malarza rozwija skrzydełka...

— Ojciec mi obiecał, a to już rok... — w oczach Jacka błękit skrysztalił się przejrzyście.

— Obiecałem i dotrzymam — rzekł energicznie pan Władysław.

Nie pomogły sprzeciwy Nikodema. Zresztą, przełamawszy już dawno pierwsze lody, coraz mniej ważył sobie Karzymowski opinję kuzyna i coraz samodzielniej pływał po paryskich fluktach. Przyczyniła się do tego niejaka podejrzliwość, że „ten wyfiokowany zbieracz starożytności" przy wspólnych operacjach finansowych „djabelnie go orzyna". Rzeczywiście w obrocie akcjami przyszedł okres niepowodzeń i trzeba było znowu sięgnąć do „szkatułki prababek".

Może i tej dziwacznej prababce, tańczącej przed setką lat w Karzymowickim parku na wzór greckiej bachantki, miał Jacek do zawdzięczenia, że już w tydzień później zgodził się przyjąć go za jednego ze swoich uczni pan Albert Rispot - Dumont, członek Towarzystwa Artystów Francuskich, kilkakrotny zdobywca złotego medalu w „Salonach" lat ubiegłych, komandor legji honorowej.

Ku ostatecznemu przygnębieniu Alojzego chłopiec tańczył po ulicy, biegnąc do pracowni „mistrza".

Niełatwo było pogodzić nowe zajęcia z godzinami nauk w kolegjum. Ojciec rektor krzywił się słodziutko i z jedwabistem namaszczeniem ostrzegał, że

„przewiduje niedługo rozstanie się z tak sympatycznym i zdolnym wychowankiem, co wielkim żalem go przepełni..." Nikodem sarkał i „zrzucał z siebie wszelką odpowiedzialność".

I cóż z tego? I ojciec i syn się uparli. Jacek w gimnazjum uczył się dalej doskonale, a po sześciu tygodniach rzucił się ojcu na szyję.

— Tatusiu! — (tak odzywał się w chwilach najwyższych wzruszeń) — „stary" powiedział mi dzisiaj, że mam talent!

Pan Władysław uśmiechnął się najpromienniejszym uśmiechem.

A promienie „radości życia" zaczęły mu dziwnie zaciągać się chmurami. Nagle przestał go bawić Paryż rozkwiecony stubarwną urodą, zaniedbywał zupełnie trzecią już z rzędu kochankę, miedzianowłosą, „trochę postrzeloną" i bogatą rozwódkę z Nowego Jorku, która z wielką ochotą zmieniłaby romans na najlegalniejsze z nim małżeństwo. („Co mnie i tobie, niewiasto?" — myślał z niechęcią. — „Co mam wspólnego z tą istotą, która składa się właściwie tylko z ładnych sukien, zuchwałego ciała i pyszczka typowej „girl" z baletu?"). Nudziła go wciąż nieszczęśliwa gra na giełdzie. Wszystko zasłoniły mu wieści z Polski.

Wojna w kraju dalekim. Tam, w jego rodzinne strony ciągną zwycięskie pułki z orłami na szturmowych hełmach. Może i Karzymowice już odbite! — „Pal djabli Karzymowice!" — wzburzał się w rozhukanym zapale. — „Ale z nimi tam być! W pościgu, z szablą przez pola!" Rozpierał go, roznosił pęd niecierpliwie młodzieńczy, pełny junackiej mocy. W pole! Zaczął poprostu dusić się w olbrzymiem mieście, stolicy wszelkich uciech. — „Tam biją się, aż w niebo iskry lecą, idą naprzód ku tryumfowi, a ja zbijam paryskie bruki, jak pierwszy lepszy międzynarodowy bałwan bez ojczyzny.

Zmizerniał, sposępniał. Nie uszło to bacznej uwagi Nikodema.

— Widzę, mój drogi Władziu, żeś bardzo stracił na humorze. Nie omylę się, jeśli tę zmianę usposobienia przypiszę zawikłaniom twoich interesów. Wistocie muszę przyznać, że nie są szczególne. Nie wspominam już nawet o tem, że z naszego ostatniego miesięcznego obrachunku jesteś mi winien sumkę dość pokaźną. Nie spiesz się wcale z jej uregulowaniem, mamy czas. Tem bardziej, że masz przecież bajeczny, wyjątkowy sposób uwolnienia się odrazu od wszystkich kłopotów....

— Ciekawym, jaki... — mruknął pan Władysław.

— Pozwól, że będę niedyskretnym, chociaż nie jest to w moim obyczaju. Ludzie naszej sfery żyją jednak w Paryżu, niby w szklanym domu. Wie się o nich daleko więcej, niż myślą. Więc wiem, że kocha się w tobie bardzo przystojna Amerykanka, pani Rut Allan....

— Daruję ci ją razem z jej przystojnością. Nie lubię kobiet, które mieszają „gin" z szampanem, wogóle kobiet, które dużo piją, i w dodatku rudych...

— Wiem — prawił niezmącony Nikodem — że bardzo chętnie wyszłaby za ciebie za mąż. Nie byłaby już wprawdzie dla ciebie nowością w nocy poślubnej... przepraszam cię stokrotnie, że ośmielam się o tem mówić.... Wkroczyłbyś w sytuację poniekąd już wyjaśnioną.... lecz okazja jedyna, niesłychana! Bójże się Boga, czego ty chcesz jeszcze, mój Władziu? Szczęście pcha ci się w ręce!

— I ja ciebie stokrotnie przepraszam, ale idź do stu djabłów z tem szczęściem i z tą piegowatą gidją!

— Ona ma prawie miljon dolarów, człowieku! Sprawdziłem w banku!

— To ty się z nią ożeń. Mniej więcej jesteś także człowiek.

— Mnieby nie chciała — rzekł Nikodem żałośnie. — Te amerykańskie wysportowane piękności szukają zazwyczaj u mężczyzn pewnego brutalstwa. Ty zaś, nie pogniewaj się, masz ten typ, przynajmniej zewnętrznie. Ha, trudno, nie chcesz posłuchać życzliwej rady krewnego... Zapewniłbyś za jednym zamachem świetną przyszłość Jackowi....

Pan Władysław jeszcze bardziej spochmurniał i ostro i szorstko „wyprosił sobie wszystkie rady tego rodzaju".

Zmagał się potem w długich ze sobą rozhoworach, walcząc z coraz gwałtowniejszą chęcią powrotu do swoich. Swoich? Nie do dalekiej, rozproszonej rodziny, nie do przyjaciół wypróbowanych w dobrych i złych czasach. Lecz do tych, których nie znał, do tych, którzy się bili. Z nich każdy to mu towarzysz, to brat! Wyjechał z Polski, drżącej u podstaw w pierwszych dreszczach wolności. Żeby Jacka, syneczka, uchronić przed burzą, co lada chwila mogła tam się rozpętać. Żeby rósł sobie chłopczyna bezpiecznie, rozwinął się spokojnie w męskie lata. A tam ze wstrząsów i z burz zrodziło się wielkie, zwycięskie państwo, niosące swoje sztandary na skraj dawnych, już wyzwolonych granic. Zaś on, nieufny, w momencie niepewności uciekł, tak uciekł, co tu dużo gadać, ogon pod siebie i w dyrdy.... Miotał się w upokorzeniu i w gniewie. Z dnia na dzień zrywał się do wyjazdu. I wstrzymywał się, kąsany szyderczym wyrzutem: — „Łatwo wrócić, gdy teraz tam wszystko dobrze."

W tem szamotaniu się upływały tygodnie. Gdy lasek buloński zakwitł krasą pierwszych dni letnich, przyszła wieść o kijowskiej klęsce. I potem jedna za drugą, jak pioruny. Aż pewnego dnia usłyszał pan Władysław w roześmianym gwarze paryskich bulwarów echo rozpaczliwego krzyku z ponad Wisły.

Zamknął się w swoim pokoju na długie godziny. Wieczorem poprosił do siebie Nikodema.

— Jakoś źle mi wyglądasz, mój kochany Władziu. Blady, oczy podbite, a dziwnie błyszczące. Czyżbyś zbytnio hołdował wdziękom jakiejś nowej pięknej przyjaciółki? Bo z Rut Allan, niestety, skończyłeś. Dowiedziałem się o tem z wielkiem ubolewaniem...—urwał, język stanął mu kołkiem pod groźnem i naprawdę wspaniale jasnem spojrzeniem pana Władysława.

— Nikodemie, nosimy to samo nazwisko. Mnie ono obowiązuje. Pojutrze wyjeżdżam do Polski.

— Co takiego? Cóż ci znów strzeliło do głowy? Muszę ci powiedzieć, żeś wybrał moment fatalny. Przewidywałem, mój drogi, — rozłożył ręce — z waszym sławnym impetem tak to musiało się skończyć. Chyba żartujesz, Władziu. Przecież teraz nie załatwisz tam najmniejszej sprawy....

— Załatwię najpilniejszą. Wstąpię jako ochotnik do wojska.

(D. c. n.).